

Jeden z ostatnich angielskich wojowników z krwi i kości prowadzi nas przez labirynt wielkiego futbolu. Ta książka to nieustająca bitwa. Klatka po klatce, skrawek po skrawku murawy, wchodzimy na boiska Premier League i za kulisy Ligi Mistrzów.

PRZEMYSŁAW RUDZKI
(PRZEGLĄD SPORTOWY, NC+)

moja dekada w **PREMIER LEAGUE**

Wayne Rooney



tłumaczenie:
MICHAŁ POL

SCN
WYDAWNICTWO
SPORTOWE

moja dekada w
**PREMIER
LEAGUE**

moja dekada w
**PREMIER
LEAGUE**

Wayne Rooney

tłumaczenie:
MICHAŁ POL

Kraków 2014

First published by HarperCollinsPublishers under the title
WAYNE ROONEY: MY DECADE IN PREMIER LEAGUE
© Wayne Rooney 2012

Wayne Rooney asserts the moral right to be identified as the author of
this work

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014
Copyright © for the translation by Michał Pol 2014

Redakcja i korekta – Tomasz Wolfke, Kamil Misiek / Editor.net.pl,
Joanna Mika-Orządała
Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Front cover photograph: © Simon Bellis/ZUMA Press/Corbis
Other photographs inside the book: Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani
w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani
odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody
wydawcy.


Wydanie I, Kraków 2014

ISBN: 978-83-7924-236-8





www.wydawnictwosqn.pl

 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



SŁOWO WSTĘPNE

SIR ALEX FERGUSON

Pamiętam wiele brwi uniesionych w zdziwieniu, kiedy przekonałem zarząd Manchesteru United do zaakceptowania wielomilionowej sumy, za którą zdecydowaliśmy się wykupić Wayne'a Rooneya z Evertonu. Chłopak miał zaledwie osiemnaście lat, ale przez dwa poprzednie sezony gry w pierwszej drużynie The Toffees udowodnił, że jest wyjątkowym talentem. Sztab szkoleniowy Evertonu wykonał kapitalną robotę, pielęgnując dzieciaka na wszystkich szczeblach swojej akademii piłkarskiej aż do debiutu w Premier League kilka tygodni przed siedemnastymi urodzinami. Zresztą na długo zanim wdarł się do świata dorosłego futbolu, wszyscy w środowisku doskonale wiedzieliśmy, że Everton wykopał prawdziwy klejnot i jest tylko kwestią czasu, kiedy rozbłyśnie na wielkiej arenie.

Wayne kibicował Evertonowi od małego, więc możemy sobie wyobrazić, co musiał czuć, po raz pierwszy wkładając słynną niebieską koszulkę i wybiegając przy wrzasku tłumu na murawę stadionu Goodison Park. Nie było nic dziwnego w tym, że tak szybko i bezproblemowo przebił się do pierwszego składu. Rooney urodził się, żeby grać w piłkę, i od samego początku było wyraźnie widać, że w przyszłości stanie się czołową postacią futbolu.

Nie mieliśmy złudzeń, że konieczne będzie wypisanie czeku na bardzo, bardzo wysoką sumę, żeby przekonać Everton do zgody na przenosiny chłopaka do Manchesteru. Wychodzę jednak z założenia, że każdy ma swoją cenę, więc doszliśmy do porozumienia z władzami The Toffees i pozyskaliśmy najwspanialszego młodego piłkarza swojej generacji. Bez wątpienia jego cena była olbrzymia, zwłaszcza jak na zawodnika, który dopiero co uzyskał prawo głosu w wyborach powszechnych, ale my doskonale wiedzieliśmy co robimy. Co jakiś czas pojawia się taki piłkarz, co do którego jest absolutna pewność, że będzie z niego wielki profesjonalista. Wayne Rooney był właśnie jednym z nich. W tym transferze nie było ani grama ryzyka. Była to mądra inwestycja w przyszłość i nie mam wątpiwości, że w następnych latach chłopak z Croxteth po wielokroć spłacił wydane przez nas pieniądze.

Jeśli jednak ktoś nadal żywił jakieś wątpiwości co do naszej decyzji, musiał szybko je stracić, gdy Wayne w debiucie w Lidze Mistrzów zdobył hat-tricka przeciwko Fenerbahçe Stambuł na Old Trafford. Mówiliśmy o szybkim spłacaniu inwestycji!

Nie przejąłbym się, gdyby zdobycie pierwszej bramki dla klubu zabrało mu kilka tygodni, ale muszę przyznać, że byłem przepelniony radością, iż zaczął w tak wspaniałym stylu. Przecież wszystkim od lat doskonale znana jest silna rywalizacja między Manchesterem i Liverpoolem, a jednak Wayne okazał się jednym z tych nielicznych scouserów*, którzy asymilowali się bardzo szybko i stali się mancyanami** z krwi i kości.

A była to dopiero pierwsza linijka tej wspaniałej historii, której pisanie rozpoczął w miarę rozwoju swej kariery w Manchesterze United. Wkrótce stał się jednym z głównych filarów klubu i uznawany jest dziś za jedną z największych gwiazd zarówno Premier League, jak i Ligi Mistrzów.

* Potoczna nazwa rdzennego liverpoolczyka – przyp. tłum.

** Mieszkaniec Manchesteru – przyp. tłum.

Wayne z czasem dorósł, zostawiając za sobą problemy dyscyplinarne, które miewał jako młody chłopak. W pierwszych latach kariery łatwo dawał się wyprowadzić z równowagi, nie miał szacunku dla autorytetów i był w gorącej wodzie kąpany. Zreformował jednak swoje podejście i dziś swoim zachowaniem wyznacza standardy reszcie drużyny. Trzeba mieć niezwykle silny charakter, żeby okiełznać w taki sposób własny temperament i przekuć wady w zalety, a on osiągnął to ciężką pracą nad sobą.

Jesienią 2010 roku miałem z nim małe utrapienie, kiedy ogłosił, że zamierza odejść z Old Trafford. Doznałem szoku i byłem tym wielce rozczarowany, szybko jednak siedliśmy do rozmów, wyjaśniając sobie, co jest powodem złego samopoczucia w klubie, i po krótkim czasie ustaliliśmy warunki nowego kontraktu. Nie będę zdradzał słów, jakie padły wówczas między nami, powiem tylko, że już na samym początku rozmowy zrozumiałem, że jego serce nadal bije dla Manchesteru United i nadzieja na zatrzymanie go nie jest stracona, musimy tylko wykazać mu błędne myślenie.

Wayne Rooney już zapewnił sobie szczególne miejsce w historii Manchesteru United. Powoli zaczyna bić odwieczne klubowe rekordy, a patrząc na jego wiek, wydaje się, że nie ma przed sobą żadnych limitów i przed końcem kariery osiągnie jeszcze niejeden bezprecedensowy wynik. Chciałbym móc powiedzieć o sobie, że w trakcie tych lat spędzonych na Old Trafford podjąłem jedną czy dwie trafne decyzje – niestety także kilka takich, o których wolałbym zapomnieć – zdecydowanie jednak sprowadzenie Wayne'a Rooney'a z Evertonu było jedną z najlepszych.

PRZEDMOWA

NASZ CZŁOWIEK W PREMIER LEAGUE

Kiedy w 2004 roku przeczytałem informację podaną przez oficjalną stronę Manchesteru United, nie mogłem dokładnie pojąć tego, co właśnie się dzieje. Jeden z najlepszych klubów piłkarskich na świecie wykłada na stół ponad dwadzieścia pięć milionów funtów tylko po to, żeby sprowadzić na Old Trafford osiemnastoletniego napastnika? W dodatku kontuzjowanego, gdyż na rozgrywanym chwilę wcześniej Euro 2004 młodzieńki gracz nabawił się urazu wykluczającego go z gry na przynajmniej miesiąc. Kim, do cholery, jest ten Wayne Rooney? – pytałem nie tylko ja, ale także setki kibiców na całym świecie. Czy Staruszek także może się pomylić?

Jak okazało się już po kilku tygodniach, dokładnie 28 września 2004 roku, sir Alex Ferguson ponownie pokazał, że jeśli ryzykuje wszystko, to najczęściej okazuje się, że ma rację. Angielski napastnik zaliczył swój debiut na Old Trafford w meczu Ligi Mistrzów przeciwko Fenerbahçe Stambuł, wpisując się na listę strzelców aż trzy razy! Trzy razy w swoim debiucie w barwach Manchesteru United?! W wieku niespełna osiemnastu lat?!

Od tego momentu było wiadomo, że Czerwone Diabły mają w swoim składzie diament. Lekko oszlifowany, wciąż wymagający sporych nakładów pracy i cierpliwości, ale diament. Piłkarza, na

którego ekipa z Teatru Marzeń czekała od czasów Erica Cantony – napastnika kompletnego. Można mówić, że to słowa na wyrost, w końcu wcześniej koszulkę United zakładali tacy gracze jak Teddy Sheringham, Dwight Yorke i Andy Cole czy Ruud van Nistelrooy, ale jak pokazały kolejne lata, król Eric doczekał się godnego następcy właśnie w angielskim piłkarzu.

Już gdy przechodził do United, miał na swoim koncie kilka wspaniałych osiągnięć, na przykład tytuł najmłodszego zdobywcy gola w Premier League, jednak wszystko to były sukcesy indywidualne, a na takich zależało mu najmniej. On chciał oddać wszystko drużynie – tylko i wyłącznie po to, aby na koniec sezonu móc się cieszyć ze zdobytych pucharów i trofeów. Między innymi dlatego odrzucił nowy kontrakt Evertonu, wymuszając na Davidzie Moyesie zgodę na transfer do Manchesteru United.

Na czym polega fenomen Rooneya? Oczywiście doskonale zdajemy sobie sprawę, że jest on zawodnikiem kompletnym, który dla dobra drużyny jest gotów na każde poświęcenie. Należy zagrać na skrzydle? Nie ma problemu! Potrzebne jest wsparcie w środku pola? Zgłaszam obecność! Trzeba grać głębiej i dostarczać piłek kolegom? Oczywiście, szefie! Dla Wayne'a nie ma misji niemożliwych, ale tym, co sprawia, że jest on uwielbiany przez kibiców, jest fakt, że wygląda i zachowuje się jak chłopak z sąsiedztwa – człowiek, z którym można po meczu wyskoczyć na piwo. Oto cały Wayne Rooney – nasz człowiek w Premier League.

Dawid Wójcik
DevilPage.pl

WPROWADZENIE

77. minuta, 19. sekunda

Bum!

Wszystko rozegrało się w szalonym tempie, szybko jak diabli. I od razu wzbiera we mnie uczucie niewiarygodnej satysfakcji, jaką zawsze mam po strzeleniu gola w Premier League. Podobną do tej odczuwanej, ilekroć uderzę piłkę golfową i spoglądam, jak toczy się po trawie prosto do dołka.

Jest to nagły i wielki przyływ olbrzymiej siły.

Cała fala emocji – porywa mnie jak nic innego na świecie.

Uczucie po zdobyciu gola dla Manchesteru United jest przeogromne, samolubne, szaleńcze. Przypuszczam, że gdybym zdołał jakoś zamknąć te emocje w butelce, uzyskałbym najlepszy napój energetyczny, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

Kilka uderzeń serca później biegnę już swoim normalnym tempem, powoli zaczynam kontaktować.

Już wszystko do mnie dociera: najpierw dźwięk, reakcja trybun tak głośna, że rani moje uszy, jakby właśnie startował odrzutowiec; ból w nogach, strużka potu spływająca po karku, błoto na koszulce. Coraz więcej i więcej dźwięków; tuż obok. Ktoś mnie chwytą za koszulkę, serce łomocze mi w piersiach. Publiczność zaczyna skandować.

„Rooney!”

„Rooney!!”

„Rooooo-neeey!!!”

Nie ma lepszego uczucia na świecie.
Spoglądam na tablicę świetlną.

12 lutego 2011

Manchester United – Manchester City 2:1

GOL!

Rooney, 77. minuta

I już wiem, kim jestem i co tutaj robię. Ta nagła świadomość uderza mnie jak boksera, który wraca do rzeczywistości po powączeniu soli trzeźwiących. Jestem Wayne Rooney. Gram w piłkę nożną w Premier League od 2002 roku i właśnie strzeliłem zwycięskiego gola w derbach Manchesteru – prawdopodobnie najważniejszego w sezonie, przynajmniej dla kibiców z czerwonej części naszego miasta. Gola, który przypomina naszym „głośnym sąsiadom”, gdzie jest ich miejsce w szeregu. Gola, który uświadamia im, że na dziś to United wciąż ma wspanialszą historię i więcej sukcesów niż oni. Gola, który ostrzega resztę ligi, że jesteśmy na właściwej drodze, by zdobyć kolejne mistrzostwo Anglii.

Najwspanialszego gola w mojej karierze.

Kiedy tak stoję z rozłożonymi ramionami i głową odchyloną do tyłu, czuję, jak narasta nienawiść kibiców City na trybunie za moimi plecami. To coś jak impuls elektryczny. Ich obelgi, krzyki i przekleństwa odbijają się ode mnie. Czerwoni na twarzy, wymachują w moim kierunku wystawionymi środkowymi palcami. Są na granicy wybuchu, ale ja o to nie dbam. Świetnie zdaję sobie sprawę, jak bardzo mnie teraz nienawidzą, jak bardzo są w tym momencie

* Tak nazwał kiedyś City sir Alex Ferguson – przyp. tłum.

wściekli; doskonale rozumiem, przez co przechodzą, ponieważ mną rządzą te same emocje, kiedy przegrywam.

Tym razem to oni są jak ranne zwierzę, a nie ja.

Ja za to zdaję sobie sprawę, że już lepszej bramki nie strzelę.

W czasie tych kilku lat w Premier League natłukłem setki goli dla United i Evertonu; goli w meczach ligowych, pucharowych, ważnych goli w finałach pucharów i w nieważnych meczach towarzyskich albo podczas treningów. Jednak ten jest absolutnie wyjątkowy. Kiedy truchtam w kierunku środka boiska, nadal czując mrowienie, odtwarzam sobie w myślach dokładnie, jak padł. Wiem, że to śmieszne, ale przez myśl przechodzi mi obawa, że nigdy już nie poczuję się tak wspaniale. Staram się dokładnie zapamiętać każdy szczegół, żeby móc później przeżywać ten moment, kiedy tylko zechcę, i znów czuć tę błogość.

Przystępując do meczu, byliśmy pod wielką presją. Spotkanie okazało się niezwykle wyrównane, remisowaliśmy 1:1, gdy padła moja bramka. Sekundy wcześniej starałem się odegrać piłkę do podającego mi kolegi, Dimityra Berbatowa – sobowtóra Andy’ego Garcii z *Ojca Chrzestnego III* i równie niebezpiecznego jak Garcia w tym filmie – ale podanie mi nie wyszło. Uderzyłem za mocno i serce podskoczyło mi do gardła.

Po mojej stracie City może wyprowadzić kontrę.

Na szczęście Paul Scholes – rudzielec o nisko zawieszonym środku ciężkości, którego przezywamy „SatNav” (od nawigacji satelitarnej, ponieważ podaje z taką dokładnością, jakby sterował nim GPS; prawdopodobnie najlepszy pomocnik, jaki kiedykolwiek grał w Premier League) – przechwycił bezpieczeństwa piłkę i zagrał na skrzydło do Naniego. Ten zrobił z nią kilka kroków z gracją tancerza z programu *Strictly Come Dancing*^{*}, aż wreszcie posłał podkręcone

* Angielski odpowiednik naszego *Tańca z gwiazdami*, nadawany w BBC – przyp. tłum.

podanie w moim kierunku ponad obrońcami City. Piłka otarła się jeszcze o któregoś z rywali, nabierając rotacji.

Zobaczyłem wolną przestrzeń w środku pola karnego. Dwóch wielkich jak góra środkowych obrońców City, Joleon Lescott i Vincent Kompany, ruszyło, żeby przeciąć podanie, ale ja już szykowałem się do przejęcia piłki. Podbiegłem kilka kroków na wolne pole, domyślając się, gdzie wyląduje piłka. Wszystkimi zmysłami rejestrowałem, co dzieje się dookoła. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie grał w piłkę ani nie czuł presji występowania przed tak wielką, wymagającą publicznością, ale gra na Old Trafford przypomina trochę bieganie w skafandrze i hełmie do nurkowania. Jest to wręcz intensywnie klaustrofobiczne.

Czuję zapach trawy, słyszę odgłos tłumu, choć nie potrafię rozróżnić, co dokładnie śpiewają kibice. Wszystko to dociera do mnie stłumione, jakbym był pod wodą w basenie: słyszę okrzyki i pluski, robione przez wszystkich, którzy są tu ze mną, ale niewyraźnie, nie rozróżniam ani właścicieli głosu, ani poszczególnych słów. Na boisku jest dokładnie tak samo. Słyszę konkretne dźwięki, zwłaszcza kiedy gra zwalnia na chwilę, jak podczas rzutu różnego albo wolnego – na przykład dziwne dudnienie dwudziestotysięcznego sektora za moimi plecami, gdy stoję z piłką w narożniku boiska, a każdy z kibiców wstaje z krzeselka i wyciąga głowę, żeby dojrzeć, co się wydarzy po wrzuceniu piłki. Jednak to nigdy nie trwa długo i zaraz znów wszystkie dźwięki docierają stłumione. Czuję się wówczas, jakbym znów zanurzył głowę pod wodę. Znów wlaź do skafandra.

Piłka leci w moją stronę.

Rykoszet od obrońcy zmienił nieco trajektorię podania Naniego, sprawił, że piłka leci nieco wyżej, niż się spodziewałem, co powoduje, iż zyskałem dodatkową sekundę, żeby przyjąć lepszą pozycję do strzału i zmienić balans ciała. W głowie miałem tylko jedną myśl: dopadnę ją! Nogi miałem już nieziemsko zmęczone, ale użyłem wszystkich sił, żeby zmusić się do wybiegnięcia w powietrze,

wznieść w kopniaku prawą nogę ponad lewe ramię i uderzyć piłkę akrobatycznymi nożycami. Wiedziałem, że to ryzyko, uderzenie z gatunku „wygraj wszystko albo strać wszystko” i jeśli skiksuję, będę wyglądał idiotycznie.

Ale nie kiksuję.

Uderzyłem piłkę czysto i posłałem ją prosto w okienko bramki; czułem, że tam leci, choć tego nie widziałem. Przekręciłem się w powietrzu, starając się śledzić lot piłki, ale nie byłem w stanie jej dojrzeć. Pojąłem, że zdobyłem gola, gdy wybuchła eksplozja radości na trybunach. Przekręciłem się raz jeszcze i zobaczyłem Joego Harta, bramkarza City, skamieniałego, z rękami rozłożonymi w geście niedowierzania. A za jego plecami piłka wciąż trzepotała w siatce.

Jeśli gra w futbol jest jak nurkowanie, to zdobywanie goli jest jak wypływanie na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza.

Po bramce słyszę i widzę wszystko bardzo dokładnie. Twarze w tłumie widzów, tysiące, tysiące twarzy krzyczących z radości, rozciągających się w uśmiechu, włączających jedna na drugą. W momencie zdobycia gola dorośli skaczą jak małe dzieci. Dzieci wrzeszczą za to z radości z siłą dorosłych i wymachują flagami. Wszystkie te obrazki docierają do mnie z niezwykłą ostrością. Widzę kolory kamizelek stewardów na trybunach. Widzę banery zwisające z tarasów Stretford End: „For Every Manc A Religion”; „One Love”. To jak przejście z widzenia świata w czarno-białych barwach na kolor, ze standardowej telewizji na high-definition, z wciskania guzików w telewizorze na pilota.

Nastrój tłumu zmienił się błyskawicznie; kibice w tym momencie zrozumieli, że mecz został wygrany. Od niemal pewnej straty piłki do wpakowania jej w górny róg bramki: to aż przerażające, jak drobny margines przesądza we współczesnym futbolu. Różnica między zwycięstwem a klęską co mecz postawiona jest na ostrzu noża. Dlatego właśnie futbol to najwspanialsza, najbardziej emocjonująca gra na świecie.



Kończymy mecz wynikiem 2:1. W szatni wszyscy zbierają się wokół mnie, wszyscy chcą gadać tylko o голу. Ja jednak jestem rozbity, już po wszystkim, nie ma już we mnie napięcia; zostało na boisku razem z tym uderzeniem przewrotnką. Szatnia jednak aż buzuje emocjami; atmosfera najbardziej udziela się Rio Ferdinandowi.

„Wow!”, woła.

„Przepiękny gol”, dodaje nasz lewy obrońca, Patrice Evra.

Wówczas do szatni wkracza Trener, w swoim czarnym płaszczu. Jego widok sprawia, że wracają ciarki. To człowiek, który krzyczy, wrzeszczy i wyrzaskuje instrukcje przy linii bocznej na Old Trafford już od ponad ćwierćwiecza; człowiek, który prowadził i inspirował najlepszych piłkarzy w historii angielskiego futbolu. Człowiek, który sprowadził mnie do najlepszego klubu na świecie. *Najlepszy trener w historii współczesnego futbolu.*

Podchodzi do każdego z nas i ściska rękę, jak to ma w zwyczaju po każdym zwycięstwie. Znam ten rytuał od pierwszego dnia po przybyciu do United. Szczęśliwie dane nam było wiele razy uściskać sobie rękę po meczu...

Wreszcie podchodzi do mnie. „To było coś wspaniałego, Wayne, to było wielkie”.

Potrząsam głową; jestem zbyt wykończony, by mówić, ale choćbym i miał siłę, i tak niczego bym nie powiedział.

Nie zrozumcie mnie źle, nie ma niczego lepszego, niż usłyszeć od Trenera, że wykonało się dobrą robotę – tyle że ja tego nie potrzebuję. I tak sam zawsze wiem najlepiej, czy zagrałem dobrze, czy źle. Nie uważam, że skoro Trener mówi, że grałem dobrze, to grałem dobrze. Zawsze gdzieś w głębi serca wiem, jak było naprawdę.

Wówczas Trener mówi, że to najwspanialszy gol, jaki kiedykolwiek widział na Old Trafford. Sam pewnie najlepiej wie, czy tak

jest naprawdę, w końcu spędził w klubie kawał czasu i widział setki wspaniałych bramek.

Trener zarządza wszystkim, kontroluje także stan emocjonalny i psychiczny piłkarzy Manchesteru United. Przed meczem odczytuje skład, a ja wówczas doznaję tego samego uczucia niepewności, jakie miałem, kiedy trener naszej szkolnej drużyny przypinał do tablicy wyjściową jedenastkę na najbliższy mecz. Podczas spotkania, jeśli nawet przegrywamy jedną bramką, ale gramy dobrze, mówi nam zwykle, żebyśmy robili swoje. Wie, że zaraz wyrównamy. Zawsze naprowadza nas rozmową na zwycięstwo. Jednak często, choć schodzimy do szatni, prowadząc dwoma czy trzema golami, zdarza mu się ostro nas ochrzanić i wytykać błędy, szaleje wręcz, a my słuchamy, siedząc w milczeniu.

Przecież wygrywamy. Co jest nie tak z tym facetem?

Ale już się zorientowałem, o co mu chodzi.

Nie chce, żebyśmy spoczęli na laurach.

Jak większość trenerów docenia dobry futbol, ale jeszcze bardziej kocha wygrywać. Szczerze mówiąc, to nie spotkałem nikogo na swojej drodze, kto miałby większe pragnienie wygrywania niż on. Pod tym względem przebija nas wszystkich. To zabawne, bo uważam, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Obaj jesteśmy niezwykle zdeterminowani, żeby odnosić sukcesy, i obaj wynieśliśmy to z dzieciństwa. Gdy byliśmy dziećmi, wpojono nam, że jeśli chcemy coś osiągnąć, musimy o to walczyć i wyszarpać to sobie pazurami. Tak właśnie zostałem wychowany; wydaje mi się, że z nim było podobnie. Więc kiedy już coś zdobędziemy, na przykład mistrzostwo Anglii, albo wygramy Ligę Mistrzów, jesteśmy tak samo uparci, żeby budować na tym sukcesie kolejny. Dlatego pracujemy tak ciężko, żeby być najlepszymi w tym, co robimy przez długie lata, najdłużej jak się da.

Wszyscy tłoczą się i przepychają wokół małego telewizorka w rogu szatni. Stoi tu od lat, trenerzy używają go, żeby odtwarzać

kontrowersyjne incydenty z meczu, na przykład upewnić się, że kartka była słuszna albo przekonać, czy rzut karny był zasadny. Zwykle jednak nie ma przy nim tłumów, na ogół tylko ten, z kim Trener chce się podzielić uwagami na temat jego gry. Teraz jednak każdy chce zobaczyć mojego gola. Ja oczywiście też.

Któryś z trenerów bierze pilota i przewija mecz do 77. minuty.

Widzę moje nieudane podanie i świetne podanie Scholesy'ego do Naniego.

Widzę jego dośrodkowanie.

I wówczas, jak w jakimś eksperymencie z opuszczeniem własnego ciała, widzę siebie, jak wzbijam się w powietrze i posyłam piłkę nożycami do siatki. Wydaje mi się to kompletnie nierealne.

Uświadamiam sobie, że każdy piłkarz zasypia z marzeniem, żeby strzelić jeden z dwóch goli: albo przedryblować sześciu rywali i wpakować piłkę do siatki obok bezradnego bramkarza, albo pokonać go takim uderzeniem z dwudziestu pięciu metrów jak moje. Sam często fantazjowałem na temat takiego gola przewrotną.

I właśnie udało mi się spełnić tę fantazję w derbach Manchesteru.

„Wow”, mówi Rio po raz drugi, tym razem kręcąc z niedowierzaniem głową.

Wiem, co ma na myśli. Siedzę dalej w szatni, nadal pocąc się, starając się wycisnąć z tego momentu, ile się da, ponieważ wiem, że takie chwile nie zdarzają się często. Wciąż słyszę, jak kibice United śpiewają na trybunach, nieźle przywalając City, i zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek zdobędę tak ważną bramkę i jednocześnie tak piękną.



Gram w Premier League od dziesięciu lat. Jestem prawdopodobnie w połowie kariery, co może wydawać się dziwne. Czas upłynął mi niezwykle szybko, ale jestem przekonany, że najlepsze lata wciąż mam przed sobą. Że jeszcze sporo wyzwań i sukcesów przede mną.

Mam wrażenie, że minęło zaledwie pięć minut od mego debiutu w Premier League, w barwach Evertonu przeciwko Tottenhamowi w sierpniu 2002 roku. Kibice Spurs zgromadzili się w jednym z sektorów stadionu Goodison Park. Kiedy wbiegłem na murawę, zaczęli skandować w moim kierunku: „Who are ya?!”*.

Za każdym razem, gdy dotykałem piłki, słyszałem: „Who are ya?!”.

Dziś już tak nie śpiewają na mój widok. Dziś po prostu buczą, gdy jestem przy piłce, albo rzucają w moim kierunku obelgi. Śmieszne.

Mam wrażenie, że przez te dziesięć lat przebyłem niezwykle długą drogę. W latach 2002–2004 występowałem w Evertonie – klubie, któremu kibicowałem od dziecka. W 2003 roku stałem się najmłodszym w historii piłkarzem, który zagrał w reprezentacji Anglii, i dopiero Theo Walcott z Arsenalu pozbawił mnie tego rekordu. W 2004 przeszedłem do Man United za sumę dwudziestu pięciu milionów funtów, stając się najdroższym napastnikiem w historii Premier League. Tego samego lata podczas mistrzostw Europy koledzy z reprezentacji Anglii nadali mi przydomek „Wazza”, które silnie do mnie przylgnęło.

W tym czasie wywalczyłem pięć tytułów mistrza Anglii, wygrałem Champions League, zdobyłem dwa Puchary Ligi Angielskiej, trzy Tarcze Wspólnoty i wygrałem Klubowe Mistrzostwa Świata. Zdobyłem przy tym dla klubu i kraju dwieście goli, zostałem też pięć razy wyrzucony z boiska.

Skłamałbym, gdybym wam powiedział, że nie cieszyłem się każdą minutą z tych dziesięciu lat gry. No dobrze, może nie tymi, w których dostawałem czerwone kartki, ale wszystkimi pozostałymi owszem, wiercie mi.

Śmieszna rzecz, ale wciąż jestem w stanie odczuwać tę samą adrenalinę i podniecenie co przed ligowym debiutem w barwach Evertonu w 2002 roku. Za każdym razem dzień przed meczem,

* Pogardliwe: „Kim ty jesteś?!” – przyp. tłum.

u siebie czy na wyjeździe, czuję się jak w Wigilię. W nocy budzę się dwa, trzy razy i przekręcam na bok, żeby sprawdzić, która to godzina, ile jeszcze do świtu.

A niech to! Dopiero druga nad ranem.

Później jestem cały nabuzowany oczekiwaniem, aż do pierwszego gwizdka sędziego.

Zapłaciłem jednak za to sporą cenę. Choć podejście do futbolu wciąż mam dziewicze, to jednak te dziesięć lat gry na najwyższym poziomie pozostawiło trwałe ślad na ciele. Powstrzymywany przez środkowych obrońców o budowie Transformersów, tratowany, przepychany, z mięśniami poobijanymi od upadków, zdartymi przedramionami przez tych, którzy próbowali mnie zatrzymać, z nogami posiniaczonymi wślizgami. Dzień w dzień, mecz w mecz; wszystko to pozostawiło na moim ciele liczne blizny.

Kiedy budzę się następnego dnia po meczu, przez pół godziny mam problemy z chodzeniem. Z każdym krokiem czuję ból. Nie było tak, kiedy byłem chłopcem. Pamiętam czasy, kiedy po zakończeniu treningu lub meczu w barwach Evertonu czy United czułem niedosyt i miałem ochotę na jeszcze więcej futbolu. Miałem małe boisko w ogrodzie, gdzie lubiłem sobie pograć z kumplami. W czasach Evertonu zdarzało mi się chodzić popołudniami po treningach do lokalnego centrum sportu, żeby jeszcze sobie pograć, albo rozgrywałem z kumplami meczyk na ulicy w Croxteth – dzielnicy Liverpoolu, w której mieszkałem z mamą, tatą i młodszymi braćmi, Graemem i Johnem. Naprzeciwko naszego domu był żłobek. Gdy zamykano go po południu, drzwi zasuwano metalowymi żaluzjami, które idealnie służyły nam za bramkę. Po moim debiucie w reprezentacji Anglii w 2003 roku ktoś sfotografował mnie, jak kopię przed żłobkiem piłkę w koszulce reprezentacji Francji.

Gra w futbol miała spory wpływ na rozwój mojego ciała, ponieważ mój styl opiera się na sile i szybkości. I intensywności. Jako napastnik muszę walczyć przez cały mecz; muszę być gwałtowny, co

oznacza, że zawsze muszę być przygotowany fizycznie na sto procent. Jeśli nie jestem, od razu da się to zauważyć. Byłoby inaczej, gdybym grał jako obrońca; wówczas mógłbym się „schować” od czasu do czasu, mniej włączać się do ataku, nie biegać na połowę rywala i jakoś by mi to uszło na sucho. Jako środkowy napastnik Manchesteru United nie mam się gdzie zadekować. Jeśli nie będę harował przez cały mecz, oszczędzał się i nie dawał z siebie wszystkiego, Trener ściągnie mnie z boiska i nie wystawi w następnym meczu. Nie chcę go zawieść, nie chcę być gorszy od kogokolwiek w drużynie.

Jeśli coś mi doskwiera w życiu, to presja z powodu bycia osobą na świeczniku, której poczynania są śledzone niemal non stop. Chciałbym choć na jeden dzień stać się kimś nieznanym, kompletnie anonimowym, żeby móc porobić normalne rzeczy; na przykład pójść do sklepu na zakupy tak, żeby nikt się nie gapił i nie pstrykał mi fotek. Miło byłoby wyjść gdzieś z kumplami wieczorem i nie być cały czas pokazywanym palcem. Przed weekendem moi znajomi chodzą do bukmacherów, żeby porobić zakłady na różne mecze – nawet nie wiecie, jak mi się marzy to samo.

Jednak z drugiej strony to wszystko drobiazgi, w gruncie rzeczy jestem niezwykle wdzięczny futbolowi za to, co dzięki niemu zyskałem. Mam jeszcze tylko jedną, małą paranoję: jak chyba każdy piłkarz obsesyjnie boję się kontuzji, przez którą będę musiał skończyć karierę. Mogę być w życiowej formie, ale wystarczy jeden brzydki faul, żebym musiał się rozstać ze sportem. Bach i po wszystkim. Wydaje mi się, że co mecz ponoszę takie ryzyko. Kariera w futbolu nie trwa długo i któregoś dnia, w dowolnym wieku, ktoś może nieoczekiwanie pomóc mi ją skończyć. Wolałbym jednak sam zdecydować, kiedy zawieszę buty na kołku, a nie zostawiać decyzję jakiemuś fizjoterapeucie czy korkom rywala.

Nie zrozumcie mnie jednak źle, strach przed kontuzją czy niepowodzeniem nigdy nie towarzyszy mi podczas meczu. Nigdy nie zamarłem na boisku w obawie, że coś mi się stanie. Na murawie

zawsze staram się być sobą i robić wszystko, żeby wygrać. Mam nadzieję, że nigdy nie zacznę się zamartwiać podczas gry.

Obyśmy nie przegrali!

Co będzie, jeśli nas pokonają?

Zawsze, w jakiej drużynie bym nie grał, wychodzę na boisko z przeświadczeniem, że wygramy. Akurat wiary w grze w piłkę nie zabrakło mi nigdy.

Jestem tak pewny siebie i swoich umiejętności, że jestem w stanie grać na dowolnej pozycji. Kiedyś zaproponowałem nawet, że mogę stanąć na środku obrony, kiedy United dotknęła wielka plaga kontuzji; a nawet że gotów jestem grać na boku defensywy. Proszę bardzo, wystawcie mnie tam, a postaram się wykonać robotę najlepiej, jak umiem, żaden problem.

Pamiętam, jak kiedyś w meczu z Tottenhamem Edwin van der Sar rozwalił sobie nos i musiał zejść z boiska. Nie mieliśmy rezerwowego bramkarza, więc zaproponowałem, że go zastąpię, ponieważ na treningach parę razy zdarzało mi się bronić i nie wychodziło to najgorzej. Kiedy w meczu Pucharu Anglii w 2008 roku przeciwko Portsmouth nasz bramkarz Tomasz Kuszczak został wyrzucony z boiska z czerwoną kartką, chciałem wejść do bramki, ale Trener mi nie pozwolił, ponieważ rywale wykonywali rzut karny. Rozumiem jego punkt widzenia. Gdybym stanął na bramce, kto z przodu miałby się zatroszczyć o wyrównującego gola?

Kiedy byłem małym chłopcem, wydawało mi się, że będę w stanie grać w futbol wiecznie. Czasy tak dobrego samopoczucia dawno minęły, ale nie przejmuję się specjalnie tym, że kiedyś w końcu nastąpi ten dzień, kiedy zagram w piłkę po raz ostatni. Stanie się tak wówczas, gdy uznam, że nie jestem w stanie grać na poziomie, do którego przyzwyczałem siebie i moich kibiców. Kiedy stwierdzę, że moja gra przestaje robić różnicę w meczach na najwyższym szczeblu, że nie jestem już w stanie ich rozstrzygać. Jeśli uznam, że jestem już za słaby na Premier League, odejdę. Może pogram gdzieś

za granicą, na przykład w Stanach. A później, o ile nadarzy się taka okazja, chciałbym spróbować sił jako trener.

Chodzi o to, że chciałbym zostać zapamiętany jako ktoś, kto grał niezły futbol w tak wielkiej drużynie jak United. Chcę spalić się w jasnym świetle jupiterów Old Trafford, a nie dogasać w cieniu ławki rezerwowych.

Jednak do zawieszenia butów na kołku jeszcze daleko. Przede mną zbyt wiele trofeów do wygrania, tytułów mistrza Anglii i triumfów w Lidze Mistrzów – a właściwie to w każdych rozgrywkach, w których występuje United. Chcę wygrać wszystko! Interesują mnie przy tym sukcesy drużyny – te indywidualne, choć są miłe, nie smakują tak samo jak osiągnięte wspólnie z kolegami. Zatem cokolwiek robię, robię po to, żeby dać z siebie jak najwięcej drużynie. Kto mnie dobrze zna, ten wie, że nigdy nie gram na pół gwizdka, jak już się angażuję, to w całości.

Przez dziesięć lat gry w Premier League zawsze kierowałem się podejściem: wszystko albo nic.

ROZDZIAŁ

1

PRAGNIENIE

Dziesięć lat w Premier League. Wszystkim tym golom i pucharom, które w tym czasie zdobyłem, kartkom, które zarobiłem, kontuzjom, które odniosłem, towarzyszyła jedna tylko myśl: nienawidzę przegrywać. Nienawidzę wręcz obsesyjnie. Porażka to najgorsze uczucie, jakie może mnie dopaść, i żaden gol, ani nawet trzy, jeśli ostatecznie przegraliśmy mecz, nie osłodzą mi tego. O ile nie schodzę z boiska jako zwycięzca, strzelone gole nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Są bezużyteczne. Jeśli United przegrało, nie interesuje mnie, ile bramek zdobyłem.

Tak już mam, że nienawidzę nawet myśli o porażce. Samo rozważanie, że możemy przegrać, wkurza mnie, aż głowa mi się gotuje, bo porażka nie jest dla mnie opcją. A kiedy już się zdarzy, potrafię wpaść w szał. Jestem wściekły, oczy zachodzą mi bielmem, wrzeszczę na kolegów, ciskam przedmiotami w szatni, obrażam się na cały świat. Głupio mi, że tak się zachowuję, ale nie mogę nic na to poradzić. Nie umiałem przegrywać już jako dzieciak, grając na ulicy z braćmi i kumplami. Od tego czasu nic się nie zmieniło, tak samo nie umiem przegrywać w barwach United.

Nieważne, na jakiej pozycji gram ani przeciwko komu, kiedy zakładam korki na nogi, zawsze jestem tym samym sobą. Do dziś

mam w pamięci gierkę na treningu w naszym ośrodku Carrington przed ostatnim meczem sezonu 2009/10 i to, że dwa razy zostałem przewrócony w polu karnym. Pamiętam ją tak dokładnie, bo do teraz jestem wkurzony na sędziego, którym był jeden z naszych trenerów fitnessu, że w żadnym z przypadków nie odgwizdał dla nas karnego i moja drużyna przegrała kilkoma golami. Kiedy zabrzmiał ostatni gwizdek, reszta chłopaków poszła do szatni, gadając i żartując między sobą. Ja byłem w tak podłym nastroju, że po drodze skopałem wszystkie pacholki i z całej siły trzasnąłem drzwiami.

Taki sam jestem i poza boiskiem. Podczas zgrupowania reprezentacji Anglii często gram z chłopakami w gry komputerowe. Kiedyś po porażce w FIFA Football cisnąłem padem przez cały pokój, tak byłem na siebie wkurzony, że nie dałem rady. A innym razem w środku gry wyłączyłem konsolę z sieci, ponieważ porażka była nieuchronna. Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem: „Daj spokój, Wazza, no nie bądź taki”.

To tylko rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej, więc wywaliłem wszystkich z pokoju, żeby dąsać się w samotności. Wszystko dlatego, że nie przegrałem z kolegami z drużyny, ale z samym sobą. Często grywam w futbol przez internet i niestety miewam spory z graczami nawet z odległej Tajlandii czy Japonii, z którymi przegrywam i nie mogę się z tym pogodzić. Klóćmy się przez słuchawki, którymi są połączeni gracze. Jestem dorosłym człowiekiem. Być może powinienem już trochę wyluzować, ale trudno mi zachować spokój, kiedy sprawy nie układają się po mojej myśli. Poza tym wszyscy w mojej rodzinie są dokładnie tacy sami. Każdy chce rywalizować. Czy to gry planszowe, tenis na ulicy, czy wszystko inne, w co grałem, kiedy byłem dzieciakiem – nikt nie odpuszczał, zawsze graliśmy, żeby wygrać. I nikt nie znośli przegrywać.

Czasami myślę sobie, że to dobra cecha – nie sądzę, że byłbym tym samym piłkarzem, gdybym godził się na drugie miejsce. Potrzebuję tego pragnienia zwycięstwa, to ono nakręca mnie w trakcie meczu,

jak kiedyś Erica Cantone'a i Roya Keanę, kiedy byli zawodnikami United. Oni także grali z wyjątkową pasją. Jestem taki sam, to pragnienie sprawia, że staram się bardziej niż inni, że aż przekraczam granice. Tamci dwaj także obsesyjnie nie znosili przegrywać. Nie mieli wielu przyjaciół na boisku, ale za to zdobywali trofea. To tak jak ja. Wątpię, żeby wielu piłkarzy stwierdziło, że rywalizacja ze mną sprawiała im przyjemność. Ja za to z lubością myślę sobie, że byłem wrzodem na tylnej części ciała dla wielu zawodników, przeciwko którym grałem. I pewnie takim samym wrzodem byłem też dla tych piłkarzy, z którymi grałem w jednej drużynie, ponieważ kiedy United do przerwy przegrywa i zapowiada się, że możemy przerznąć mecz, wpadam w szatni w szal.

Wrzeszczę i krzyczę.

Kopię piłkę po całej szatni.

Ciskam butami o podłogę.

Tracę cierpliwość w stosunku do kolegów.

Wydzieram się na ludzi, a oni na mnie.

Jednak nie wrzeszczę, nie krzyczę, nie kopię piłki po szatni i nie ciskam butami dlatego, że kogoś nie lubię. Robię to z szacunku dla kolegów z drużyny, bo chcę, żeby grali lepiej, a wiem, że potrafią. Nie mogę znieść myśli, że ktoś nas pokona. Wrzeszczę więc na zawodników, a oni wrzeszczą na mnie. Nie odbieram osobiście ich krzyków i spodziewam się, że i oni nie odbierają osobiście tego, co ja wyrzaskuję im w twarz, kiedy się nakręcę. Wszystko to jest częścią tej gry. Okej, wiem, że czasami wygląda to, jakby ogarnęło mnie szaleństwo, ta wielka złość i gniew, które okazuję, kiedy stracę kontrolę, ale to także wielki wulkan energii. Ten wybuch sprawia, że staję się właśnie takim piłkarzem, jakim jestem.



Moja nienawiść do przegrywania, do zajmowania drugiego miejsca, zaczęła się w Croxteth. Moja rodzina jest dumna; Crocky to dumne miejsce, nikt na „dzielni” nie chce nikogo zawieść, ani siebie, ani swojej rodziny. Moja rodzina nie posiadała wiele, ale wystarczająco dużo, żebyśmy dawali sobie radę. Braci i mnie wychowano w przekonaniu, że niczego nie dostaniemy za darmo, że wszystko będziemy musieli sobie wywalczyć. Że jeśli czegoś zapagniemy, będziemy musieli to sobie wyszarpać pazurami. Takie podejście do życia wpoili mi mama, tata, babcia i dziadek. Nauczyli, że jeśli będę ciężko pracował, dostanę nagrodę. Jeśli przyłożę się do lekcji i ocen w szkole, dostanę upragnioną koszulkę Evertonu – drużyny, której kibicowała cała nasza rodzina – albo nowe korki, jeśli akurat bym potrzebował. Stąd wzięła się moja wola do ciężkiej harówki.

Tej wewnętrznej dyscypliny, woli wygrywania i przebijania się do przodu za wszelką cenę, nabywałem i poza szkołą. Boksowałem w Crocky Sports Centre, gdzie trenerem był mój wujek Richie, wielki facet z płaskim nosem boksera. Uderzał naprawdę mocno. Ja sam nie stoczyłem ani jednej walki, ale za to sparowałem trzy razy w tygodniu, a bokserski trening dodał mi sił i sprawił, że stałem się twardszy i jeszcze bardziej zdeterminowany, żeby walczyć o swoje. A przede wszystkim dodał mi wiary we własne możliwości. Wszyscy w rodzinie jesteśmy dość pewni siebie, ale to przecież cecha nie tylko Rooneyów. Sądzę, że to cecha właściwa ludziom pochodzącym z Liverpoolu.

Ludzie w Crocky są dość wylewni; każdy tu mówi od razu, co mu leży na wątrobie, i to mi bardzo odpowiada. Jako dzieciak nauczyłem się przenieść tę pewność siebie do ringu. Gdy znajdowałem się w nim z kolesiem dwa razy większym ode mnie, nigdy nie myślałem w ten sposób: „O rany, patrzcie, jaki on wielki! Zaraz mnie sponiewiera”. Ktoś, kto tak pomyśli, w tym momencie przegrywa – w głowie – i z takim podejściem daleko się nie zajdzie. Ja zawsze ruszałem do walki z przekonaniem, że wygram, nieważne jak duży i silny

jest rywal. Salę bokserską wujka Richiego często odwiedzał jeden taki, co się nazywał John Donnelly*, starszy i dużo cięższy ode mnie. Jednak za każdym razem, gdy ze sobą sparowaliśmy, wujek napominał mnie, żebym wyluzował i nie przesadzał. Bał się, że w swojej zaciekłości coś zrobię Johnowi.

Pewność siebie i wiara, że gram po to, żeby wygrywać, towarzyszyły mi na boisku od samego początku, już w mojej szkolnej drużynie De La Salle. Gdy zdarzyło się, że ktoś odebrał mi piłkę, szedłem potem na salę bokserską i wyładowywałem się na worku, myśląc tylko o tym, żeby takie coś nigdy już mi się nie powtórzyło. Nikt nie może mnie pokonać w walce o piłkę. A kiedy tylko choć odrobinę traciłem ten głód piłki, przywracał mi go czujny ojciec. W każde niedzielne popołudnie przychodził oglądać mecze mojej szkolnej drużyny i zachęcał, jeśli było trzeba. Czasami nakręcał się bardziej ode mnie. Pokrzykiwał, żebym ciężiej pracował i bardziej się starał. Kiedyś graliśmy mecz na przeraźliwym mrozie, ręce kompletnie mi zgrabiał, a nogi zdawały się dwiema kłodami lodu. Podbiegłem do linii bocznej i powiedziałem: „Tato, chcę zejść. Jest zbyt zimno, w ogóle nie mam już czucia w nogach”. Jego twarz była śmieszna, bo z zimna przybrała mnóstwo śmiesznych kolorów; wyglądała, jakby miał zaraz wybuchnąć z gniewu.

„Co? Jest ci zimno?!”

Nie mógł uwierzyć.

„No to zacznij wreszcie biegać, to się rozgrzejesz!” No i rzeczywiście zacząłem jeszcze więcej biegać i trochę mi to pomogło. Miałem tylko dziewięć lat, ale podświadomie zdawałem sobie sprawę, że muszę słuchać rad ojca i wykonywać polecenia nawet ze zdwojoną siłą, jeśli chcę zostać zawodowym piłkarzem.

* John Donnelly, gdybyście chcieli wiedzieć, jest dziś zawodowym bokserem w wadze muszej. Muszę przyznać, że sam sporo się zastanawiałem, czy nie zostać zawodowym bokserem, ale ostatecznie chyba lepiej, że wybrałem piłkę nożną...

Fot. John Peters/Getty Images



„Strzeliliśmy rywalom cztery gole, z czego dwa zdobyłem ja. [...] Puchar Ligi Angielskiej był pierwszym trofeum, które wywalczyłem w barwach United”. 26 lutego 2006 roku, finał Pucharu Ligi Angielskiej na Millennium Stadium w Cardiff, Manchester United – Wigan 4:0

Fot. John Peters/Getty Images



„W sezonie 2006/07 zdobyliśmy mistrzostwo Anglii kilka kolejek przed końcem. Kiedy jednak w ostatnim meczu sezonu przegraliśmy u siebie 0:1 z West Hamem, trener strasznie się wściekł. Wpadł do szatni i nieludzko nas zwymyślał. [...] Po »suszarce« musieliśmy się zebrać do kupy, sporo czasu trwało, nim byliśmy w stanie przywołać uśmiechy na twarze i przyjąć medale zwycięzców Premier League”. 13 maja 2007 roku, Manchester United – West Ham United 0:1

Fot. Clive Mason/Getty Images



Fot. Alex Livesey/Getty Images

„Obiecałem sobie, że nigdy nie będę płakał na murawie po porażce, wszystko jedno czy będę przeżywał pozytywne emocje, np. po wygraniu Ligi Mistrzów, czy negatywne – po przegraniu kluczowego meczu. Jednak wtedy na Wembley tuż po ostatnim gwizdku byłem bliski załamania. Dławiło mnie w gardle, serce mi waliło, z trudem łapałem oddech”. 19 maja 2007 roku, finał Pucharu Anglii na Wembley w Londynie, Manchester United – Chelsea Londyn 0:1

„Zajął mi to trochę czasu, ale dopiąłem swego. [...] Czułem się szczęśliwy i usatysfakcjonowany. Wreszcie sobie odbiłem gorycz porażek w Premier League”. 11 maja 2008 roku, ostatni mecz sezonu Premier League, Wigan – Manchester United 0:2

„Wszystko wokół staje się jakby rozmyte, nierealne, szalone. Biegnę w kierunku bramki wraz z Rio, Nanim, Andersonem i trenerami. Nasi kibice wpadają w euforię i ja też wpadam w euforię. Każdy się w niej zatracza”. 21 maja 2008 roku, finał Ligi Mistrzów na Łużnikach w Moskwie, Manchester United – Chelsea 1:1 (k. 6:5)



Fot. Shaun Botterill/Getty Images

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

